“Sen”

“There's a place I like to hide,
A doorway that I run through in the night”

Queensrÿche - Silent Lucidity

“You're the pulse in my veins
You're the war that I wage [...]
You're the love that I hate
You're the drug that I take”

Starset - Monster

“Never in my life have I seen someone
So ignorant to the damage he has done
You're the rotted root in the family tree”

Dream Theater - Honor Thy Father

- Cholera… - Simon zaklął pod nosem, kiedy trochę niesionej w ręku kawy wylało mu się na książkę. Położył spodek z filiżanką obok i przetarł okładkę rękawem czarnego swetra. Duża brązowa plama skróciła tytuł do napisu „Cierpienia młodego Wert...” i groteskowo zniekształciła twarz młodego romantyka.

- Dużo to w twoim życiu nie zmieni… - szepnął pod nosem patrząc na zdeformowane kawą czoło. W jego życiu też nic to nie zmieniło. Nawet przekleństwo było już tylko przyzwyczajeniem. Miał teraz inne problemy na głowie. Zaczął sączyć duże americano, otworzył przed sobą książkę, żeby zasłonić częściowo padające przez okno promienie ostrego porannego słońca i zaczął czytać.

W szkolnej kawiarni był jeden szczególny stolik. Stał wciśnięty w kąt, a jego większość od reszty pomieszczenia oddzielały prosty, drewniany regał na książki i palma wyglądająca, jakby jej życie było cierpieniem. Stał na podwyższeniu i siadając przy nim człowiek mógł obserwować całą kawiarnię, samemu będąc praktycznie niezauważonym. Regał i drzewko dawały za mało osłony dla dwójki osób pragnących dyskrecji, ale stanowiły odpowiednie odosobnienie dla samotnego człowieka. Ostatnimi czasy Simon uczynił z tego miejsca swoją samotnię. Przychodził tu, kiedy musiał bezczynnie spędzać dłuższy czas w budynku szkoły albo nie mógł znaleźć upragnionego spokoju w willi rodziców. Tego dnia ojciec wysłał go tu ponad godzinę przed ceremonią rozpoczynającą drugi rok liceum i Simon od razu znalazł się

w swoim bezpiecznym ukryciu. Chociaż wolałby zostać we Śnie…

Odwróciła głowę w jego stronę. Ciepłe światło kominka miło padało na jej płomiennorude włosy. Wstała ze swojego fotela i wcisnęła się obok niego. Fotel nie był wystarczająco duży dla dwójki osób, było im ciasno, ale to było to przyjemne uczucie ciasnoty. Spojrzał w jej błękitne oczy. Miał wrażenie, że mógł się wręcz w nich zatopić, zaczepiać na nich wzrok godzinami, dniami, latami.

- *Coś cię martwi? – ni to spytała, ni to stwierdziła fakt. Simon westchnął.*

- *Wszystko mnie martwi. – powiedział łamiącym się głosem. – Czeka mnie kolejny rok w miejscu, które mnie męczy, z ludźmi, którzy w najlepszym wypadku mnie ignorują.*

- *Dasz radę. Damy radę razem.*

Obudziło go poruszenie stolika. Nie był całkowicie zanurzony w Śnie, ale jego mały przebłysk mu pomógł.

- *Wiesz, że ona nie istnieje* – racjonalna część umysłu uświadomiła mu bolesną prawdę.

- *I co to zmienia?*

Powoli skupił wzrok. „Wert" leżał okładką do góry obok niedopitej kawy. Jeszcze była ciepła, nie mógł drzemać więcej niż piętnaście minut. Potem zobaczył co dokładnie wyrwało go z objęć Morfeusza i tym samym objęć kogoś dużo ważniejszego. Dosiadł się do niego znajomy z klasy – niski, chudy, czarnowłosy chłopak, który zawsze wydawał się jednocześnie wesoły i rozbawiony oraz zamyślony nad czymś poważnym. Gregory – Simon przypomniał sobie jego imię – był chyba jedyną osobą, która nigdy nie potraktowała go, jakby jego obecność ubliżała towarzystwu. Dlatego podświadomie od razu zaufał, że ma dobre intencje.

- Dlaczego ze mną usiadłeś? – spytał go, pozornie bez wyrazu. Wymownie zwrócił wzrok w stronę dużego stołu, przy którym grupa znajomych właśnie śmiała się z jakiegoś żartu o przygnębiająco niskim poziomie.

- Myślisz, że wolę być z tamtymi? - zapytał Greg. Simon otworzył usta, ale to nie było potrzebne. Gregory od razu znał odpowiedź.

- Wiesz co widzę, gdy tam patrzę? – kontynuował. – Ludzi bez pasji, całe swoje życie dotąd poświęcający siedzeniu i obgadywaniu jak Annie zerwała z Tomem albo jak źle Kate wygląda w nowej sukience. Zwykłych zjadaczy chleba. W tobie jest coś więcej. Coś co mnie ciekawi i przyciąga tutaj.

- Myślałem, że wszyscy widzą we mnie egoistę, który nie umie radzić sobie z emocjami i utrzymywać relacji z innymi, a potem siedzi w swoim czarnym swetrze i użala się nad sobą.

- Masz na myśli tamtą… sytuację? – Simon poczuł ostre kłucie w sercu, tak jakby wewnątrz była metalowa blaszka, która wbijała się i ocierała za każdym jego biciem. Nienawidził tego uczucia, prawie tak samo jak pustki nachodzącej go, kiedy uciskanie go opuszczało.

- Mam na myśli wszystko! – Jego ton głosu nagle się zmienił. Wskrzesał w sobie resztkę gniewu i skierował ją w stronę Gregorego. Nie wiedział, dlaczego. Nie potrzebował tego, dał się po prostu ponieść fali

gniewu, wyładował swoje emocje. – I nie zamierzam o tym rozmawiać! Będę uciekać, tak jak zawsze. – Stopniowo gniew się wypalał i Simon tracił zapał. – Tylko to umiem i zawsze będę się chował w swojej bezpiecznej, odciętej kopule…

Gregory wstał i odszedł bez słowa, nie zasuwając nawet za sobą krzesła. Usiadł pośród zwykłych zjadaczy chleba i było widać, że nie czuł się tam w pełni dobrze. Simon poczuł zalewającą go niechęć do samego siebie. Kłucie narastało. Spuścił wzrok i zagłębił się w książkę. Czuł chaos emocjonalny, nie mógł się skupić na słowach ani uciec w Sen.

* * *

Wszedł do auli kilkanaście minut przed początkiem ceremonii, siadając w dogodnym miejscu - na końcu i przy ścianie. Spuścił głowę i oparł ją na dłoniach. Wplótł palce w gęstą czuprynę włosów i zamknął oczy. Czuł ciepło i wilgoć swojego oddechu zatrzymującego się na kołnierzu swetra. Zaczął się uspokajać…

Leżeli razem na ziemi, dookoła nich zimny, biały puch. Wymacał w ciemności jej dłoń i chwycił się kurczowo. Jej dotyk i ciepło momentalnie go ukoiły. Poczuł jakby płomyk oderwał się od jej duszy i przeniknął do niego, wypełniając pustkę i rozwiewając sprzeczne emocje. Przybliżył się tak, że dotknął twarzą jej twarzy i zamknął oczy. Ciszę mącił jedynie szelest drzew nad nimi. Leżeli razem w zimnie, pośród lasu i pod gwiazdami, cieszyli się chwilą na tej wyspie bez czasu, w odciętej kopule. I byli szczęśliwi.

Poczuł szturchnięcie, gdy nieuważny przechodzień zahaczył o tył jego krzesła. Z bólem zdał sobie sprawę, że wrócił na jawę. Zabrano mu tamtą chwilę. Obrócił się, ale mąciciel już zniknął w tłumie uczniów.

- *Wszystko jedno…* - Pomyślał. Nie czuł aż takiej potrzeby zemsty. Tego dnia upuścił już wystarczająco dużo gniewu. Obrócił się z powrotem, jednocześnie zauważając, że jedyne miejsce obok zajął Gregory. Westchnął ciężko. Czuł się jakby jakakolwiek siła wyższa rządząca wszechświatem znowu chciała zrobić mu niesmaczny żart.

Wtedy kątem oka zobaczył mignięcie rudych włosów. Coś mówiło mu, że to musiały być *te* rude włosy. Rozświetlający je promyk słońca przepełnił go uczuciem szczęścia, były jak płomień nadziei wśród szarości i zimna otaczającego świata. Ten ułamek sekundy wydawał się trwać w nieskończoność, lecz wystarczyło jedno mrugnięcie, żeby złamać czar chwili. Ognik zwiastujący burzę w jego życiu zamienił się w nicość.

- To musiała być ona… - szepnął niedosłyszalnie, z niepewnością w głosie, jakby chciał sobie wmówić, że to co widział nie było tylko nikłym mirażem samotnego człowieka. Ale zakorzeniony w jego umyśle obraz rudych włosów rozmazywał się, zanikał aż pozostało to wieczne, nieznośne uczucie pustki. Wy-

branka jego serca nie istniała. Była tylko sennym marzeniem, wieczną tęsknotą człowieka pozostawionego z samym sobą na lodzie, wśród ludzkiej nieczułości i niezrozumienia.

- *Pauline…* - Zawołał w myślach.

Nie otrzymał odpowiedzi.

* * *

Po rozpoczęciu roku niebo zachmurzyło się i zaczęła się gwałtowna ulewa. Simon mimo to zdecydował się wrócić do domu na piechotę. Zimno i wilgoć zdawały się nie robić mu różnicy. Już był w pobliżu rodzinnej willi. Nie musiał nawet patrzeć na otoczone mgłą i skąpane w deszczu domki bogatych rodzin, żeby wiedzieć, że się zbliża. Znał tę monotonną, rutynową drogę na pamięć.

- *Nie ma jej! Nigdy nie będzie!* – Myśli nie dawały mu spokoju. Z powrotem ogarniało go kłucie i uciskanie, tęsknota za kimś, kto nigdy nie istniał. Nie naprawdę. Rude włosy były tylko przywidzeniem, desperacką halucynacją. A on będzie zawsze sam, zawsze odrzucony, zawsze niezrozumiany.

Stanął przed wejściem na posesję. Wyciągnął z kieszeni przemokniętego płaszcza zdrętwiałą z zimna rękę i nacisnął dzwonek. Jego dzwonieniu odpowiedziała głucha cisza, zmącona jedynie stukaniem deszczu o dachy. Oczywiście w domu nikogo nie było. Wymacał klucze, z trudem wybrał odpowiedni i przekręcił w zamku. Pchnięta barkiem furtka otworzyła się gładko, bez żadnego dźwięku. Simon przeszedł i zamknął ją za sobą. Wśród deszczu i szarości zadbany ogród stanowił przygnębiający widok. Na myśl przywodził nie plac zabaw jego dzieciństwa, tylko cmentarz. Cmentarz, na którym pogrzebane będą jego nadzieje. Stawiał krok za krokiem, wychodząc spod dającej mu osłonę przed pogodą korony starego buku. Kroczył dalej ścieżką z gładkiego, szarego bruku, wśród spadających kropel i mgły, aż nie znalazł się przed wejściem. Wyciągnął klucz, włożył do zamku i przekręcił. Drzwi nie chciały się otworzyć. Musiał znowu pomylić zamki. Nie miał już siły nawet westchnąć z rezygnacją. Emocje znowu ustąpiły, powracała nicość.

Wybrał inny klucz i otworzył drzwi. Wielki dom był pusty i ciemny. Zdjął buty, zrzucił płaszcz na ogrzewaną podłogę i zapalił światła w przedpokoju. Zobaczył jak Harold, gruby, biały kot perski, podszedł do niego i przywitał ocierając o nogi. Schylił się i machinalnie podrapał zwierzę pod brodą. Kocur wytrzymał chwilę czułości, po czym ostentacyjnie poszedł sobie w stronę nieoświetlonego wielkiego salonu. Simon stał przez chwilę sam w wejściu do pustego domu. Bez słowa ani westchnienia przeszedł do kuchni. Po drodze minął wystawę rodzinnych zdjęć, po jednym spojrzeniu odwrócił od nich głowę.

W kuchni stanął przed szafką z lekami. Wyciągnął rękę w stronę uchwytu, dotknął go pieszczotliwie, zawahał się, otworzył szafkę obok i wyciągnął filiżankę. Postawił ją na blacie i wrzucił do niej torebkę herbaty. Nastawił czajnik elektryczny i czekał aż woda się zagotuje. Starał się skupić na rutynowości swoich czynności i odegnać myśli o tym dniu i dalszej przeszłości. Na szczęście miał gdzie uciekać, swoje bezpieczne miejsce. Herbatę wypił szybko, nie czekając aż do końca wystygnie. Potem poszedł na górę willi, wszedł do swojego pokoju zamykając za sobą drzwi i od razu położył się w łóżku. Owinął się w koc i zamknął oczy. Jego oddech zwolnił i Simon zaczął wycofywać się do swojej odosobnionej kopuły…

* * *

Był sam w ciemności. Już wiedział, gdzie się znalazł, z ulgą powitał fazę REM, swoje ukojenie. Z przyzwyczajenia spojrzał na zegarek na swoim nadgarstku. Proste wskazówki wahały się, z pozoru chaotycznie, ale Simon już dawno nauczył się rozpoznawać ten znak. Machnął ręką przed oczyma. Dookoła zmaterializował się iglasty las, bujna ściana drzew i krzewów, ostoja spokoju. Wszędzie zalegał delikatny, biały puch, przenikające między gałęziami promienie słońca rozświetlały śnieg jak jasny, kryształowy pył. Odetchnął głęboko. Świeże, leśne powietrze wypełniło mu płuca. Zapach szyszek, igieł, zimna i spokoju ulżył jego bolącemu sercu. Przekręcił twarz do góry, w stronę słońca, zamknął oczy i uśmiechnął się lekko.

- Już nadchodzę. – Powiedział cicho, pieszczotliwie.

Szedł znaną mu leśną ścieżynką, odbierał otaczający go krajobraz wszystkimi zmysłami. Ciepło słońca na jego skórze, chlupot strumyka w oddali, szelest igieł i gałęzi, chrupanie śniegu pod stopami. Przeskoczył nad leżącym w poprzek ścieżki martwym drzewem. W locie dotknął pnia ręką. Wilgotny, zimny, łaskoczący mech i szorstka, gruba kora. Wylądował, buty wbiły mu się w puch aż za kostki. Poczuł chłód śniegu dostającego mu się za cholewki. Nie przeszkadzało mu to. Tu był bezpieczny i szczęśliwy.

Dalej ścieżka prowadziła pod zwisającą półką skalną i wodospadem. Simon poczuł jak chłodna mgiełka łaskocze go po twarzy. Dotknął ręką zimnej, omszałej skały. Słońce padało przez ścianę lodowatej wody, naznaczając skalną ścianę wszystkimi kolorami tęczy. Na rzeczce nad nim kra oderwała się od lodowej pokrywy i spadła z hukiem i chlupotem do jeziorka w dole. Potem ścieżka prowadziła przez mały, górski wąwóz, z korzeniami wystającymi z popękanych głazów. Stare, olbrzymie świerki i jodły utrzymywały miejsce w przyjemnym, chłodnym półcieniu. Po lewej stronie zobaczył renifera wyjadającego mchy i porosty spod śniegu. Przeszedł obok zwierzęcia, cicho i spokojnie, uważając na każdy krok, żeby nie wystraszyć rogacza. Był to wyjątkowo silny samiec, z olbrzymim porożem i niewzruszonym pyskiem. Dlaczego odłączył się od stada? – Simon nie wiedział. W pewnym momencie znalazł się tak blisko renifera, że czuł jego ciepły, wilgotny oddech i intensywny zapach piżma. Zwierzę zastrzygło uszami, ale dalej stało w stoickim spokoju.

Z jaru wyszedł na śródleśną polankę. Na drugim końcu porośniętego wrzosami i sporadycznie krzewami kosodrzewiny wyłomu stał mały, drewniany domek. Na zadaszonej werandzie stała znajoma sylwetka. Pauline miała na sobie beżową kurtkę obszytą futrem, a gładkie, płomiennorude włosy okalały jej delikatną, jasną, owalną twarz. Głęboko niebieskie oczy wypatrywały Simona już od jakiegoś czasu. Kiedy wreszcie zobaczyła go nadchodzącego znajomą ścieżką jej twarz rozjaśnił uśmiech. Simon wszedł po schodkach i padł w jej objęcia. Była szczupła i trochę od niego niższa. Wtuliła głowę w jego ramię.

- Kocham cię. – Szepnęła.

- Ja ciebie też. – Odpowiedział jej.

Weszli do domku zostawiając buty na wycieraczce i kurtki na wieszakach. Pauline usiadła ze skrzyżowanymi nogami na dywaniku przed kominkiem i wyciągnęła przed siebie ręce, żeby je ogrzać. Simon przeszedł pod stromymi schodami na poddasze i znalazł się w aneksie kuchennym. Zaparzył wodę w czajniku i włożył torebki herbaty do dwóch kubków. Oparł się o blat i spojrzał na krajobraz za oknem. Widok ośnieżonej polany, leśnej ściany drzew i niedostępnych szczytów w oddali uspokajał go. Czajnik zagwizdał. Simon nalał wrzątku do kubków, po chwili wyrzucił torebki i przeszedł z herbatą z powrotem do pokoju. Usiadł obok Pauline, postawił kubki przed nimi i objął ją ramieniem. Siedzieli przed ogniem godzinami, nie potrzebując do porozumienia się ani słowa.

* * *

Wyszli na werandę. Słońce chyliło się ku zachodowi, jego ciepłe światło rzucało na polankę miły, pomarańczowy blask. Zaspy śniegu dookoła błyszczały niczym złoty pył. Simon zamknął drzwi do chatki. Nie potrzebował klucza, nie było tu nikogo, kto mógłby naruszyć ich spokój. Chwycił Pauline mocno za dłoń. Jej ciepły, gładki dotyk dodał mu otuchy. Poczuł w sercu to ciepłe uczucie, które pojawiało się tylko i wyłącznie na jej widok.

- A przynajmniej ostatnio…

Odegnał tę myśl. Tu był bezpieczny od dawnych bólów, wolny od zewnętrznego świata i ukryty przed nim.

Szli obok siebie ścieżką, którą przyszedł Simon, ale przy ścianie drzew zeszli z niej w prawo i przeprawili się przez wrzosowisko. Doszli do mniejszej, rzadziej uczęszczanej dróżki prowadzącej w górę, na najbliższy górski szczyt. Przejście tędy było dużo cięższe - wystające z pokrytej ściółką ziemi kamienie i korzenie drzew męczyły stopy - ale równie przyjemne jak każdy inny spacer po Śnie. Drzewa rosły tu dużo gęściej i były starsze, ich grube pnie i przysłaniające słońce korony nadawały okolicy tajemniczy wygląd. Lecz nawet jeśli ten zagajnik był ciemny i w pewien sposób nieznajomy, Pauline i Simon nie czuli tu grozy ani niepokoju. W jakimś stopniu przeważała ciekawość.

Z każdym krokiem głazy robiły się coraz większe i ścieżka zaczęła przypominać wykute przez naturę skalne schody. Po wspięciu się na kilkanaście stopni przystanęli, żeby odetchnąć. Wtedy w oddali mignęła mu przed oczyma znajoma sylwetka. Między drzewami stała czarnowłosa dziewczyna w koszuli nocnej. Obróciła ku niemu głowę. Simon natychmiast oderwał od niej wzrok. Na jego twarzy malowały się smutek i poczucie winy połączone z gorzką niechęcią. Sylwetka rozpadła się w nicość. Spojrzał w stronę Pauline. Wyglądała na przerażoną. Jej oczy przemykały od drzewa do drzewa, aż w końcu też spojrzała się na niego.

- Idźmy już stąd. Byle szybko. – Powiedziała łamiącym się głosem. – Nie chcę go już widzieć… - Simon przytaknął. Pauline zobaczyła coś innego i równie niepokojącego.

Czym prędzej opuścili mroczny zagajnik. Dalsza droga na szczyt prowadziła już pod gołym niebem. Jedyna większa roślinność jaka rosła na tej ośnieżonej hali to kępki traw, małe wrzosy i krzaki kosodrzewiny. Usiedli na dużym głazie patrząc w stronę słońca zagłębiającego się w tafli morza w oddali. Pauline przytuliła się do niego mocniej. Ciągle czuł przyspieszone bicie jej serca.

- Nigdy niczego takiego tam nie było… - Westchnął. – Nie wiem co się ze mną ostatnio dzieje.

- Nie wracajmy tamtędy – Spojrzała się na niego, a z jej oczu pociekły łzy. Simon objął ją ramieniem.

- Jesteś już bezpieczna. Wszystko będzie dobrze. – Szepnął. – Pauline… - Powiedział i zawahał się na moment. Dziewczyna nie zwróciła na to uwagi. Siedzieli dalej bez słowa, patrząc na zachód słońca.

* * *

Jego oczy zaczynały przyzwyczajać się do miękkiego światła wpadającego zza żaluzji. Z nie dziwiącą już go apatią zdał sobie sprawę, że się obudził. Czekał go długi, nużący, zwyczajny dzień, pierwszy z wielu w tym roku. Ale ta bezduszna rutyna dawała mu jakąkolwiek motywację, żeby wstać i żyć. Bo tak trzeba.

Wrócił myślami do Snu. Tej nocy coś było nie tak. Opuścił gardę i pozwolił jej wśliznąć się do środka. Musiało być z nim jeszcze gorzej niż sam sądził. Jego własny azyl przed światem zaczął go zdradzać, wpuszczając do siebie najboleśniejszy element z zewnątrz.

- *Nie uwolnisz się od niej.* – Usłyszał głos części umysłu, którą zawsze spychał na bok, przed którą uciekał w panice. – *Nie zapomnisz ran, które sobie zadaliście. Pamiętaj, kto ciął głębiej. Nie potrafiłeś jej pomóc…* - Obrazy z przeszłości powróciły do jego umysłu jak powódź przelewająca się przez pękniętą tamę. Czarne, rozwiane włosy. Głębokie, brązowe oczy. Miejsce przy płocie, gdzie przesiadywali podczas bezsennych nocy. Butelka leków na ciśnienie…

Simon otworzył oczy. Oddychał ciężko, a w piersi czuł znane aż za dobrze kłucie. Tym razem dużo silniejsze, nie jak blaszka w sercu, ale jak ostrze noża. Wstał gwałtownie i rozpoczął codzienną rutynę. Bezmyślne czynności pomagały mu nie wracać myślami do dawnych czasów.

* * *

Machinalnie wrzucił świeże kanapki do plecaka. Harold wskoczył na stół i zaczął nadstawiać spłaszczony pysk do pieszczot. Simon wyciągnął dłoń i podrapał go pod brodą. Kot momentalnie przekręcił głowę i ugryzł go w dłoń. Wyrazisty ból przypomniał mu, że mimo ogarniającej go na powrót apatii wciąż żyje. Usłyszał z góry głos matki. Widocznie już od rana malowała w swojej pracowni.

- Simon, wychodzisz już?

- Tak mamo! – Odkrzyknął najradośniejszym głosem, jakim potrafił.

- Powodzenia w szkole!

Wyszedł na dwór i zamknął za sobą drzwi. Przez liście padały na niego promienie ciepłego światła, kontrastujące z chłodem poranka. Czuł dookoła wszechobecny zapach niedawnego deszczu. Spojrzał do tyłu, w stronę ścieżki wchodzącej w ścianę krzewów i drzew. Gdzieś między nimi, w głębi ogrodu, w niewielkim wyłomie wśród krzaków stały stare, drewniane krzesło i zewnętrzne ogrodzenie, świadkowie niezliczonych bezsennych nocy i jego nieszczęścia. Poczuł, jakby ktoś go obserwował, jakby czuł dwoje brązowych oczu patrzących zza płotu, ale nikogo już tam nie było. Odwrócił wzrok. Z drugiej strony rozciągał się spowity mgłą krajobraz małego miasteczka. Do jego myśli znowu powrócił widziany kątem oka błysk rudych włosów, płomień nadziei, że mogą czekać go lepsze czasy. Simon westchnął ciężko i wyszedł na chodnik przed domem. Po chwili zastanowienia poszedł dłuższą drogą przez podmiejski lasek. Potrzebował dzisiaj spokoju tamtego miejsca.

* * *

Simon zatrzymał się przed frontowymi drzwiami szkoły. Z góry spoglądała na niego fasada starego, kanciastego, lekko zaniedbanego budynku, ale jego myśli były skupione na czymś innym. Na mignięciu rudych włosów…

- Jeśli to faktycznie ty, to czeka mnie moje wybawienie. – Mruknął pod nosem. - Jeśli jesteś halucynacją… - Nie dokończył.

Przeszedł korytarzem wśród obrzydliwie białych ścian. Stojący przy nich ludzie od czasu do czasu patrzyli się w jego stronę. Ich wzrok palił go, mówił mu: „Wiemy wszystko. Wiemy co zrobiłeś. Zasłużyłeś na to.” Tak, inni zawsze się zachowywali jakby wiedzieli wszystko, jakby obraz, który widzą był tym jedynym prawdziwym. Samo wejście tu wystarczyło mu, żeby na powrót zdać sobie sprawę, jak bardzo chce opuścić to miejsce. Raz i na zawsze. Zostawił w szafce brudne od leśnego błota buty. Wtedy coś kazało mu się obejrzeć. Nie był pewien czy to był strach, złe przeczucie czy impuls jakiejś nadnaturalnej siły.

Wśród grupy ludzi idącej w jego stronę dojrzał niskiego, chudego chłopaka. Gregorego. Simon nie chciał dalszej konfrontacji, po wczorajszej rozmowie ciężko mu było spojrzeć mu nawet w oczy. Pospiesznie zamknął szafkę i oddalił się w przeciwnym kierunku. Szedł gdziekolwiek, szybkim krokiem oddalając się od tak przerażającej go rozmowy. Ktoś uderzył go barkiem. Simon obrócił się, ale człowiek zniknął już w tłumie. Nie było już sensu dociekać, czy to był celowy akt pasywnej agresji czy najzwyklejszy przypadek. Rozejrzał się po ludziach, wśród których czuł się jak obcy, potwór naznaczony piętnem Kaina.

Znowu to zobaczył! Tym razem w samym środku pola widzenia – błysk ciepłego światła odbijającego się od rudych włosów. Pustą duszę na nowo rozgrzał płomień nadziei. Simon poczuł jakby unosił się ponad wszystko, tłum prawie obcych ludzi, brzydki, nieprzyjazny budynek, dręczące go wspomnienia. Poczuł się jak w Śnie. Natychmiast zawrócił i zaczął przeciskać się przez falę uczniów cisnących się do

klatki schodowej. Zdyszany dotarł do schodów i zobaczył przez chwilę rude włosy wśród wchodzących na górę. Wpadł między nich i prawie tratując wszystkich pod sobą przecisnął się na piętro. Teraz płomienny blask skręcił w prawo i oddalał się korytarzem. Simon biegł dalej aż nie zobaczył jej pełnej sylwetki stającej przed jedną z sal.

Nawet zanim się obróciła, wiedział, że to mogła tylko być ona. Jego jedyna plama koloru, promyk rozświetlający szarość świata i ogrzewający jego zimno. Przed nim stała ruda dziewczyna w białej koszuli, ale wzrok Simona widział ciepło zlewające się w wręcz idealną postać. Dziewczyna odwróciła głowę. Dojrzał znajomą delikatną, bladą twarz i znane głębokie, błękitne oczy. Wszystko jeszcze bardziej wyraziste i upajające go jeszcze silniejszą falą gorąca niż w Śnie. To była ona.

Nagle ten ułamek sekundy euforii przerwał dźwięk dzwonka. Pauline odwróciła wzrok i weszła do klasy za innymi ludźmi. Simon stał sam na końcu korytarza. Plecak zsunął się mu z ramienia i upadł na posadzkę. Sam nie był pewien czy ta scena, która rozegrała się przed jego oczyma była realna. Nie wiedział czy stała przed nim Pauline z krwi i kości, czy ledwie fatamorgana.

Kłucie w sercu powracało, narastając z każdą sekundą. – *Nie zapomnisz ran, które sobie zadaliście. Pamiętaj, kto ciął głębiej. Nie potrafiłeś jej pomóc…* - Odegnał myśli i zawrócił w stronę swojej sali. Przechodząc czuł na sobie spojrzenia innych ludzi. Przewiercały go na wylot, wyciągając na wierzch z jego serca nienawiść do samego siebie i poczucie winy. Podciągnął rękaw czarnego swetra i ścisnął swoje przedramię, wbijając w nie paznokcie. Naciskał, aż nie poczuł bólu. Przeciągnął zaciśniętą ręką w stronę dłoni. Na skórze pozostał czerwony ślad. Nikt nie zauważył tego gestu.

- *Zasłużyłeś sobie na to. Oko za oko. Ząb za ząb.* – Przygryzł zęby i odszedł w stronę sali ze spuszczoną głową.

* * *

- *Jesteś, czy cię nie ma?* – Simon czuł się jakby wygłaszał w swojej głowie monolog jak na scenie, kolejną część miłosnej tragikomedii, dzieła okrutnego autora wszechrzeczy. – *Czekam na ciebie. Czekam tu i teraz, czekałem, odkąd cię wyśniłem.* – Chodził nerwowo w kółko przed drzwiami sali. Spojrzał w zegarek na ręku. Do dzwonka miał jeszcze kilka minut. Ze swojej sali wymknął się pod koniec lekcji. – *Odkąd zraniłem i zostałem zraniony.* – Nawet w swoich myślach czuł ironiczny, przeszyty żalem i poczuciem winy ton głosu. Urwał wewnętrzny monolog i zatrzymał krok próbując zebrać myśli. – *Czemu nawet światło, które sam stworzyłem, żeby ogrzewało mi zimne dni i samotne noce pozostawia mnie samego?! Czemu migoczesz mi przed oczami, dajesz złudne nadzieje?* – Westchnął, a jego pytania pozostały bez odpowiedzi. – *Jednak smutny człowiek nie może stworzyć sobie szczęścia…*

Zadzwonił dzwonek. Drzwi do sali otworzyły się i natychmiast wylała się z nich fala ludzi. Simon nie czuł znajomego ciepła, nie widział tego zapierającego dech w piersiach blasku. Tylko zimno samotności wśród innych. Odwrócił głowę i chciał już odejść zrezygnowany, gdy usłyszał wołający go delikatny głos:

- Hej! Czy ja cię skądś znam?

Simon odwrócił się. Słowa wypowiedziała dość niska rudowłosa dziewczyna. Poczuł ukłucie, połączenie melancholii, nadziei i lęku.

- A nie, chyba wzięłam cię za kogoś innego. – Powiedziała z niezręcznie ukrytym smutkiem w głosie.

- Nazywam się Simon. Może kiedyś się spotkaliśmy... - Odpowiedział.

- To naprawdę ty? – Simon rozpoznał to charakterystyczne ni to pytanie, ni to stwierdzenie. W głosie Pauline słychać było kolejną nagłą zmianę emocji. Tym razem ulgę graniczącą z euforią. Wrócił do niego pomarańczowy blask. Od jego zimnego, skostniałego serca rozeszła się fala gorąca i przyjemnego mrowienia. To uczucie, po raz pierwszy odwzajemnione, roztopiło zimno i wypełniło pustkę jego wnętrza. Odetchnął głęboko i uśmiechnął się; wreszcie czuł się żywy. Pauline padła w jego objęcia. Czuł ją wszystkimi zmysłami. Błysk światła odbijający się w oczach. Zapach jej włosów przy jego twarzy. Dotyk jej gładkiej skóry pod cienkimi, letnimi ubraniami i jej rąk na jego plecach. Delikatny dźwięk jej oddechu. Stali na środku korytarza, nie zwracając uwagi na przechodzących ludzi, świat na zewnątrz był przytłumiony i nierealny. Byli szczęśliwi. Tak jak we Śnie, otaczająca ich szara rzeczywistość nie miała dostępu do środka. Wciąż czyhała dookoła, ale tej jednej szczególnej chwili nic nie mogło zakłócić.

* * *

Nadeszła kolejna noc, kolejna chwila ucieczki. Sen otoczył go ciepłymi ramionami. Jak zwykle, Pauline była tam przed nim i czekała na werandzie. Wziął głęboki wdech zimowego powietrza. Nie czuł tu ludzi, ich świdrujące spojrzenia, wychwytujące najcichszy szept uszy i usta szeleszczące bolesnymi słowami pozostały za nim, w świecie, od którego odleciał, szybując i śniąc.

Nagle naszło go nagłe uczucie dziwnego niepokoju. Rozejrzał się dookoła. Mroczny, powykręcany las, ciemna ściana drzew ukrywająca najczarniejsze miejsca ich podświadomości, wszystkie traumy i lęki, rozrosła się i ciasno otoczyła polanę. Lecz domek pozostawał bezpieczny i nietknięty.

Pauline wyglądała inaczej niż zwykle, wydawała się jakby bardziej realna, jak żywa istota z krwi i kości. A może była taka zawsze, ale on nie zdawał sobie z tego sprawy...

- Znaleźliśmy się… - Powiedziała, obejmując go.

* * *

Na drugim końcu polany znaleźli wyłom w ścianie drzew, przez który prowadziły zardzewiałe, od lat nie używane tory kolejowe. Nie chcieli iść tą ścieżką, ale coś pchało ich do przodu. Szli w ciszy, odwracając wzrok od napierającego po bokach lasu. Simon kątem oka zobaczył czarnowłosą dziewczynę

wśród drzew. Chwycił mocniej dłoń Pauline. Tory biegły dalej płytkim jarem, poskręcane gałęzie tworzyły nad nimi zasłaniający światło dach. Po drugiej stronie stała zupełnie inna postać. Wysoki mężczyzna w skórzanej kurtce i poplamionym podkoszulku, z oczami wpatrzonymi w rudowłosą dziewczynę. W prawej dłoni trzymał kurczowo długi nóż kuchenny. Pauline momentalnie podniosła rękę i chwyciła się za lewą skroń, starannie zakrytą płomiennorudą grzywką. Ich rysy były bardzo podobne, ale kilkudniowy zarost i niechlujne, przetłuszczone szaro-brązowe włosy wypaczały twarz mężczyzny. Dziewczyna schyliła głowę i chwyciła z całej siły dłoń Simona. Jej paznokcie zaczęły się wbijać w jego skórę. Ukłucie bólu pomogło się mu skupić.

- To nasze umysły, nasze królestwo. Mamy pełną kontrolę. – Powiedział. Pauline przytaknęła z wahaniem. Postaci rozpłynęły się w ciemności panującej między drzewami. Simon podniósł głowę. - Mamy kontrolę… - Powtórzył z wahaniem.

Dalsza droga porzuconymi torami minęła w ułamku sekundy, jakby jakaś nieznana siła natychmiast przeniosła ich na koniec wędrówki. Znaleźli się w opuszczonym, zrujnowanym miasteczku. Przeszli szybko ciasnymi uliczkami wśród łuszczących się, popękanych ścian budynków i zatrzymali się na małym placu przed zniszczoną stacją kolejową. Zabite deskami okna nadawały temu miejscu jeszcze bardziej przygnębiający widok. Porzucony, zardzewiały tramwaj patrzył na nich ślepiami popękanych reflektorów. Dookoła widzieli w większości nieczytelne szyldy opuszczonych sklepów. W oczy rzuciły im tylko się apteka i sklep z bronią. W oddali, przy porcie, niczym wieża samotnego czarnoksiężnika, wznosiła się ponura, zgasła latarnia morska. Słońce już zaszło i jedynym światłem jakie mieli było rozpalone pospiesznie przez Simona ognisko z połamanych desek.

Jej postać pojawiła się w oddali jak widmo. Długa nocna koszula powiewała na wietrze, czarne włosy okalały jej bladą twarz niczym żałobny welon. Z całej jej sylwetki sączyła się zimna, biała poświata. Powiew wiatru rozwiał postać dziewczyny jak chmurę mgły. Simon wstał i wyciągnął z ogniska płonącą deskę. Wymachiwał nią przez chwilę jak mieczem, próbując odegnać ducha, gdziekolwiek on w tej chwili był. Kiedy postać nie wracała, odetchnął głośno, ale wciąż trzymał przed sobą prowizoryczną broń. Kilka żarzących się drzazg spadło mu na buty, ale nawet nie zwrócił na to uwagi. Pauline stanęła za nim i chwyciła go za ramię. Zwróciła uwagę, że kurtka, którą zwykle nosił we Śnie w czasie zamieszania zmieniła się w czarny sweter.

Dziewczyna w koszuli znów pojawiła się w mroku ciasnych uliczek, tym razem dużo bliżej. Stała o krok od placyku, ale wciąż poza kręgiem wątłego światła ogniska. Jej upiorna sylwetka odbijała się w resztce wody wypełniającej zrujnowaną fontannę. Z jej dłoni wypadł słoiczek leków na ciśnienie. Uderzył o ziemię z głuchym dźwiękiem, rozchodzącym się po całym miasteczku. Nakrętka potoczyła się w bok, tabletki rozsypały się pod stopami dziewczyny. Simon wypuścił żagiew z rąk. Ogień na końcu deski momentalnie zgasł. Pauline patrzyła w jego twarz i nawet mimo ciemności mogła dojrzeć na niej poczucie winy i przerażenie. Od strony widma rozległ się przenikliwy, przepełniony smutkiem głos.

- Pamiętasz o mnie? Pamiętasz o naszych ranach?

- Nie ma cię! – Wrzasnął Simon. – Chciałaś odejść, a ja nie dałem rady ci pomóc. Nie chciałaś przyjąć mojej pomocy. – Duch zaczął rozpływać się w mroku.

- Jestem już częścią ciebie. Nie zapomnisz ran, które sobie zadaliśmy. Pamiętaj, kto ciął głębiej. Nie po-

mogłeś mi…

* * *

- Kim ona jest… – Pauline zawahała się. - …była?

Simon już trochę ochłonął. Siedzieli razem przy ognisku, ważąc w ciszy tamto wydarzenie. Zapadła noc, ale Sen wydawał się nie kończyć.

- Nazywała się Eleanor. – Otarł pot z czoła. Mówił już spokojniej, ale słowa wciąż ciężko wychodziły mu z ust. – Była do czasu najważniejszą osobą w moim życiu… - Westchnął. - I przyczyną tego. – Gestem ręki wskazał na opustoszały krajobraz Snu. – Znaliśmy się od dziecka, ale z wiekiem zaczęliśmy się od siebie oddalać. Aż do pewnej nocy, ponad rok temu. Oboje byliśmy samotni i nie radziliśmy sobie z naszą samotnością…

* * *

W mgnieniu oka Pauline znalazła się w pustej sypialni. Wciąż była noc, ale widziała teraz inne miejsce i inny czas. Postawiła niepewny krok i uderzyła nogą w kant biurka. Nie poczuła bólu, była tu jedynie obserwatorem. Na biurku, postawione tak, żeby zasłaniał je monitor, ale na tyle mało ukryte, żeby nie wzbudzać gniewu rodziny, stało zdjęcie chłopca w ogrodzie. Poznała go od razu. Simon. Podeszła ostrożnie do uchylonego okna. Ciepłe powietrze letniej nocy muskało jej twarz. Na dworze Simon szedł w stronę gęściej zarośniętej części ogrodu. Mimo temperatury miał na sobie swój czarny sweter. Dyskretnie przemknęła się przez korytarze willi. Usłyszała dźwięki filmu oglądanego przez jego rodziców, ale nie cofnęła się żeby ich zobaczyć. Na komodzie stały rodzinne zdjęcia, kilka z nich przedstawiało dwójkę dzieci, Simona i Eleanor, bawiących się w ogrodzie lub rozmawiających przez płot.

Wyszła z domu za swoim ukochanym. Chciała go zawołać, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Przyłożyła rękę do ust i spróbowała jeszcze raz. Nic. Tylko biała mgiełka osiadła na ułamek sekundy na jej okularach. Okulary… Nie nosiła ich od tamtego pamiętnego dnia. Chwyciła kosmyk włosów i przysunęła go pod oczy. Nawet w tym wątłym świetle widziała, że zniknął płomiennorudy kolor. Od tamtego dnia…

Znalazła Simona siedzącego pod wielkim, starym orzechem, zaraz koło płotu. Stała obok, ale on jej nie widział. Mogła tylko patrzeć i słuchać. Wpatrywał się w cienki sierp księżyca i dobrze widoczne w ciemności gwiazdy. Na jego twarzy widniał wyraz smutku i samotności, który kiedyś przerodzi się w grymas cierpienia i w końcu przygnębiającą obojętność. Wtedy usłyszeli zza płotu delikatny, przesycony smutkiem, ale przenikliwy głos.

- Simon?

Przez szparę wyjrzała blada, czarnowłosa dziewczyna w nocnej koszuli.

- Widzę, że też nie śpisz. Każdy człowiek siedzący na dworze o takiej porze zawsze ma jakiś powód, jakąś swoją historię, która wyprowadza go na światło księżyca. Co nęka ciebie? – Powiedziała.

- Czuję się taki… - Zawahał się. - …samotny. Niezrozumiany, niekochany, samotny i pominięty. Liczyłem co najwyżej na towarzystwo księżyca.

- Masz teraz coś więcej. Możemy rozmawiać.

- Dzięki. – Simon westchnął i zastanawiał się chwilę nad następnymi słowami. – A czego ty szukasz wśród nocy?

- Bywam tu od dłuższego czasu… - Eleanor odsunęła włosy z twarzy. Pod oczami miała wory, jakby od dawna się nie wysypiała. – W nocy nie trzeba kryć się ze swoim smutkiem.

- Coś się stało? – Spytał niezręcznie. – Wybacz to pytanie, nie umiem rozmawiać. Widocznie znam już powód swojej samotności… - Dodał po chwili.

- Nie przejmuj się. Tacy jak my też mogą być wartościowymi ludźmi. Często są dużo bardziej wartościowi. A co się stało… Można by powiedzieć, że miałam zawyżone oczekiwania. Co do siebie, szkoły, przyjaźni… - Zawahała się. - …miłości, ogólnie, całego świata.

* * *

Pauline nawet nie zauważyła żadnego przejścia, mignięcia. Po prostu znów była przy ognisku, z Simonem u swojego boku. Okulary zsunęły się jej z nosa. Poczuła narastający niepokój, jakby przeszłość, przed którą uciekała zaczynała się do niej zbliżać. Kątem oka zauważyła ruch wśród ciasnych uliczek. Błysk noża kuchennego…

- To była końcówka roku szkolnego, ostatniego przed pójściem do liceum. – Simon opowiadał dalej. – Od tamtej nocy rozmawialiśmy więcej, każdego dnia siedzieliśmy razem w szkole, odizolowani od reszty, wydawało nam się, że byliśmy niewidzialni, a potem spędzaliśmy bezsenne noce przy płocie. Zacząłem się zakochiwać. - Pauline poczuła ukłucie zazdrości. - Eleanor zajmowała mi wszystkie myśli. Gdy tylko zamykałem oczy, widziałem jej postać, niczym czuwającego nade mną upadłego anioła. Ale ona wciąż zachowywała pewien dystans, trzymała mnie w niepewności co do swoich uczuć do mnie. A jej stan psychiczny ciągle się pogarszał. Aż do dnia, w którym to się odwróciło…

* * *

Simon i Eleanor szli obok siebie leśną dróżką. Światło delikatnie sączyło się przez liście drzew nad ich głowami, zostawiając na wyschłej od braku deszczu ziemi dywan poruszających się z wiatrem plam światła i cienia. Dookoła unosił się zapach rozgrzanych upalnym słońcem wczesnego lata roślin. Dzielił

ich wyraźny odstęp, który Simon próbował desperacko zmniejszyć idąc na minimalnie na ukos. W ten sposób z każdym krokiem zbliżali się do siebie o milimetry, ale on nie śmiał przekroczyć pewnej bariery. Czuł, że nie mógł jej dotknąć, że wciąż był pozbawiony prawa do tego. Przejście przez tę granicę byłoby skażeniem jego uczucia, niewybaczalnym aktem poddania się pożądaniu. Na razie musiał czekać…

Pauline podeszła za nimi i nie dbając o dyskrecję zaczęła przysłuchiwać się rozmowie. Wiedziała, że to tylko przeszłość, to wszystko już się stało, ale na sam widok tej sceny czuła nieustające kłucie zazdrości. Jakie ona miała prawo do jego uczuć!? - Pomyślała.

- Zawsze lubiłam późną wiosnę i wczesne lato… - Eleanor wzięła głęboki wdech. Ciepły wiatr rozwiał jej czarne włosy. – To zawsze był czas szczęścia… Teraz mimo wszystko czuję się lepiej. Nawet kiedy mam wrażenie, jakbym zapadała się w czerń, natura dookoła podnosi mnie na duchu. A dzisiaj nawet czułam… - Znów urwała. Podobnie jak Simonowi, raz ciężko jej było dobierać słowa, a raz wylewała wręcz swój strumień świadomości. - …nadzieję.

- Ja też dzisiaj tak się czuję. Jakbym wreszcie miał nadzieję. – Simon już prawie dotykał Eleanor. Dzieliła ich jedynie ta bariera, którą czuł. Ale nie złamał jej jeszcze. Jeszcze nie była pora… Pauline wzdrygnęła się na dźwięk tych słów. Ból przeszył jej klatkę piersiową. Obserwowała ostatni dzień, w którym on czuł nadzieję… Wiedziała że to złudne uczucie zawiodło go na ten romantyczny spacer. Odetchnęła ciężko, z bólem i ruszyła dalej oglądać jego cierpienie.

Przeszli obok krzewu dzikich róż. Świeżo rozkwitłe kwiaty wypełniały przestrzeń dookoła swoim słodkim zapachem, a ich intensywna, ciemna czerwień łamała zielony monolit ściany gaju.

- Uwielbiam takie kwiaty. Taki ciemny kolor. Tajemniczy, mroczny, ale żywy. – Eleanor znów dała upust swojej myśli. - Nie wpada w szarość. Szarość jest dużo gorsza od czerni… Czerń jest jak smutek i desperacja, ale szarość i nijakość to to co naprawdę niszczy od środka. Negatywne emocje bolą, ale ból to też część życia. Wolę ból od pustki… - Westchnęła. - Bordo to dobry kolor dla kwiatów, ale jeszcze lepszy jest ciemny fiolet. O, tam! – Wskazała ręką na kłosy fioletowych kwiatów wystające pośród niskich krzewów i kwitnących kęp traw. – Tojad. Ludzie nie lubią tej rośliny, nigdy jej nie widuję w ogrodach. Czasami tylko spotykam osamotnione kępki w takich odludnych miejscach. Ale nie zaprzeczysz, są piękne. Samotne, ale piękne. – Simon przytaknął. Przypatrywał się przyrodzie w ciszy, tylko przytakując Eleanor i odpowiadając jej sporadycznie.

Wolał słuchać jej biernie i pozwalać swoim myślom latać w przestrzeni. Wszystkie krążyły wokół czarnowłosej dziewczyny w białej sukience. Barwne kwiaty odurzające słodkim zapachem bledły przy słońcu odbijającym się od jej gładkich włosów. Jedyny wiatr jaki czuł to bliski podmuch jej oddechu. Kiedy patrzył na Eleanor czuł zalewającą go falę ciepła, ale ta fala załamywała się nad nim, sprawiając fizyczny wręcz ból. Jej widok był jak sztylet wbity w serce, mimo że Simon wierzył, że kiedyś ten anioł będzie przeznaczony jemu. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie była pora…

Ta nieczułość… - Pomyślała Pauline. Widziała, jak głębokie uczucia nękały Simona. - Czy ona tego nie widzi? Czy ona z premedytacją ciągnie go za sobą, jak marionetkę? Czy ona nie wie jaki zadaje mu ból?

Zeszli ze ścieżki i znaleźli się na małej polanie, a ich oczom ukazał się nakryty zieloną szatą najróżniejszych roślin stary nasyp kolejowy. Z betonowego tunelu w wale wypływał mały strumyk. Korona powykręcanej wierzby rosnącej przy wodzie rzucała na polankę przyjemny cień. Ściana krzewów i młodych drzew dookoła oraz porastająca nasyp bujna roślinność czyniły to miejsce bezpiecznie ukrytym przed zewnętrznym światem. Simon wskazał poziomy konar wierzby wiszący wręcz nad wartkim nurtem. Z łatwością wspiął się na drzewo i usiadł z nogami wiszącymi nad wodą.

- Chodź! - krzyknął do Eleanor.

Dziewczyna została na razie na ziemi, obserwując uważnie ważki latające dookoła rosnących na brzegu strumienia trzcin. Jej twarz nosiła wyraz głębokiej zadumy, ale tym razem usta nie wypowiadały biegnących w głowie myśli. Simon wyciągnął z teczki czarny notatnik i zaczął rysować.

- Pięknie tu… - Eleanor westchnęła wspinając się na konar.

- To moje ulubione miejsce. Chadzam tu często kiedy muszę uspokoić myśli. - Szybki szkic dziewczyny w białej sukience natychmiast zniknął z powrotem w odmętach czarnej teczki.

- Nie wiedziałam, że rysujesz.

- Tylko czasami, nie mam żadnego talentu. - Zaczerwienił się na samą myśl o Eleanor przeglądającej jego szkicownik. - To dla mnie tylko metoda przelewania uczuć na papier. Zawsze pomaga.

Siedzieli chwilę w ciszy obserwując otaczającą ich naturę. Jedna ważka podleciała do Simona i zawisła w powietrzu obok jego głowy. Chłopak odwrócił wzrok od ukochanej i skupił się na podziwianiu błyszczących skrzydeł odważnego owada. Wyciągnął rękę i spróbował go złapać. Ważka zręcznie wymknęła się spod jego dłoni i odleciała do krążących nad wodą towarzyszek. Pauline siedziała na ziemi oparta o pień wierzby i obserwowała poczynania dwójki od dołu. Czuła napięcie między nimi i przeczuwała nadchodzący ból Simona. Bicie jej serca zaczęło przyspieszać. Odetchnęła ciężko.

- Damian odpisał mi dziś rano. - Eleanor przerwała ciszę. - Umówiliśmy się na sobotę rano. Już uważałam to za porażkę, już spisywałam tę miłość na straty. A teraz znów czuję nadzieję… Jestem tak szczęśliwa… To słońce, te rośliny, to wszystko jest w takiej harmonii z moim nastrojem w tej chwili. - Westchnęła. - Damian, jak ja go kocham…

Simon wzdrygnął się. W jego piersi rozniósł się okropny ból. Jego serce było jak wypalający go od środka rozżarzony węgiel. Ukłucie które poczuł nie przypominało już igieł ani nawet sztyletów. W tej chwili był ugodzony mieczem, przekłuty długim, zimnym i twardym ostrzem. Niebo było bez chmur, ale wewnątrz Simon czuł, że słońce zaszło i zdawało mu się, że nigdy już nie wzejdzie. Pauline spojrzała na jego nagle posmutniałą twarz. Miecz, ból, którym go ugodzono, ranił też ją. Wypełniła ją fala smutku, współczucia Simonowi i nieopisanego gniewu, nienawiści do dziewczyny, która go tak raniła. Okrągłe okulary zsunęły się z jej nosa, a z oczu pociekły łzy. Zacisnęła zęby, ale nie otarła oczu. Pozwoliła łzom płynąć. I tak nikt jej tu nie widział.

- A, właśnie, przyszliśmy tu bo chciałeś o czymś porozmawiać. - Powiedziała po chwili Eleanor. - Już nieważne… - Simon odpowiedział posępnym głosem. Słowa "kocham cię" uwięzły mu w gardle i pozostały niewypowiedziane.

* * *

Kawałek kartki płynął w dół strumienia. Woda obmywała go, niszcząc wydarte treści. Papier nasiąkał, zawarty na nim ból rozpływał się w wartkim nurcie. Kartka ocierała się o ostre kamienie, spadała małymi wodospadami, i płynęła, płynęła ku zapomnieniu. A wraz z nią odpływał w dal rysunek czarnowłosej dziewczyny w białej sukience…

* * *

Cały ból tego wspomnienia przytłoczył Simona. Chwycił się kurczowo za serce, kiedy ta źle zagojona rana, która ropiała i jątrzyła się przez czas prawie roku otworzyła się na powrót. Zadrżał. Pulsujące uczucie pieczenia i kłucia rozchodziło się od serca po całym ciele. Jedna łza, drobna, krystalicznie czysta kropla pojawiła się w kąciku oka. Pierwsza od dawna. Zsunęła się po policzku, torując drogę dla kolejnych. Następne ciekły bez ustanku, zbyt długo trzymane w zamknięciu. Pauline przysunęła się jeszcze bliżej niego i objęła go mocno. Podniosła dłoń żeby otrzeć mu łzy. Simon nie pozwolił jej.

- Płacz oczyszcza. - Powiedział.

- Nie pozwolę, żeby ktokolwiek cię tak skrzywdził. Nigdy. Nigdy. Nigdy… - Powtarzała to słowo jak echo, samemu zaczynając płakać.

Po chwili Simon wrócił do opowieści.

- Po tamtym spacerze już nie byłem w stanie do niej podejść. Jej widok sprawiał mi ból, ale nie mogłem przestać na nią patrzeć…-Westchnął ciężko. - Ale jednego dnia coś było wyraźnie nie tak. Eleanor zawsze powstrzymywała łzy...

* * *

Płacz. A raczej kilka samotnych łez desperacko próbujących się wyrwać z kącików oczu. Powstrzymywanie ich było zbyt męczące, w końcu uwolniły się i spłynęły w dół. Blada dłoń sięgnęła do włosów i zasłoniła twarz ich czarnym strumieniem. Tak żeby nikt nie widział hańbiących łez. Siedziała skulona przy schodach, w mniej uczęszczanej części budynku, sama, tak żeby nikt jej nie zauważył, nikt do niej nie podszedł.

Pauline spojrzała na nią z góry. Stała na schodkach, już przyzwyczajona do bycia niezauważoną, bierną obserwatorką.

- Eleanor… Zasłużyłaś na to… - Pomyślała. Po raz pierwszy czuła taką nienawiść do drugiej osoby. - Nie po raz pierwszy… - Natrętna myśl z tyłu głowy przypomniała jej o tamtym dniu. Pauline odepchnęła to wspomnienie. Nie miała teraz czasu na własne traumy.

Do klatki schodowej wbiegł Simon. Był zdyszany, widocznie przypędził tu ile sił w nogach, jak tylko zobaczył, że stan Eleanor się pogorszył. Na jego czole pojawiły się krople potu. Oczy pokazywały ukrywaną od tamtego pamiętnego spaceru miłość i troskę. Pauline wstała ze schodków i podeszła. Stanęła obok niego i schyliła się, uważnie oglądając lewe przedramię. Spojrzała na zegarek na jego ręku. 17 czerwca, godzina 15:27. Po jej kręgosłupie rozeszły się ciarki, kłując jak lodowate igły, wypełniając jej umysł strachem. Potem pojawiło się dziwne uczucie nieczułości i ociężałości, jakby częściowo odpłynęła gdzieś, pozostawiając za sobą bezwładne, stojące tak samo jak przedtem ciało. Ten dzień…

- Eleanor! - Krzyknął.

- Odejdź. - Usłyszeli łkający głos.

- Eleanor, co się stało? Mogę pomóc, ko… - Tym razem te słowa zostały przerwane gniewnym, płaczliwym głosem dziewczyny.

- Już za późno! Odejdź!

Simon, który w tym czasie podchodził do niej, zatrzymał się momentalnie i odwrócił. Poszedł bez słowa, bez łzy, bez westchnienia. Pauline przełknęła ślinę. Nawet ta nieczułość nie dała rady stłumić gwałtownego, przebijającego bólu.

* * *

Wróciła za Simonem do jego domu. Widziała ból na jego twarzy, ale nie mogła z nim porozmawiać, w żaden sposób go ukoić. Na myśl o tym czuła tylko tą pustkę, nieczułość, ociężałość. Chłopak najpierw próbował przejść się po ogrodzie, żeby uspokoić rozbiegane myśli. Widok roślin w słońcu pomagał, aż do chwili, kiedy Simon znalazł się pod starym orzechem, w miejscu jego długich, nocnych rozmów. Jego wyraz twarzy natychmiast się zmienił. W zamyślone oczy wstąpił ból, a w ich kącikach pojawiły się drobne łzy. Odwrócił gwałtownie głowę i pobiegł do domu. Willa oczywiście była pusta. Wbiegł do kuchni, zamykając frontalne drzwi z trzaskiem. Pauline nie poczuła nawet gwałtownego uderzenia drzwi, które trafiły ją w twarz. Simon od razu wszedł po schodach na górę. Leżący na drapaku Harold nawet nie zwrócił uwagi na jego przybycie. Drobne zakłócenie minęło, pusty dom powrócił do niezmąconego niczym przygnębiającego spokoju.

Pauline zastała go samego w pokoju. Próbował uciekać od rzeczywistości w ekran komputera, oglądając losowe filmy. Zerknęła na zegar. 16:19. Następny film wybrany dla Simona przez algorytm miał tytuł "Jak pomóc osobie z myślami samobójczymi". Chłopak zamknął przeglądarkę skrótem klawiszowym.

Z braku innych rzeczy do roboty włączył jakąś strzelankę multiplayerową i postanowił pozabijać wirtualnych wrogów narodu. Po kilkunastu haniebnych śmierciach własnej postaci Simon wyłączył grę tym samym skrótem klawiszowym. 17:03. Czas dłużył się niemiłosiernie, a wykręcający jego umysł niepokój wciąż pozostawał.

Następne były próby rysunku, zakończone po ponad godzinie bezczynnego zastanawiania się i naprzemiennego rysowania i zmazywania siatek proporcji. 18:20. Natrętne myśli uniemożliwiały mu skupienie. Co się jej stało? Dlaczego nie mogłem jej pomóc? Co robię źle?

Włączył inną grę komputerową, ale i na niej nie mógł się skupić. Chwilę słuchał muzyki leżąc na łóżku. Pauline obserwowała go, przeczuwając najgorsze. Nie mogąc nic zrobić. Pomóc w jakimkolwiek stopniu. 20:35.

Potem Simon zszedł na dół domu i wyszedł na ogród. Starannie zamknął za sobą drzwi i westchnął głębo-

ko. Schował klucze do kieszeni.

- Nie chciałaś mnie. Nie przyjęłaś pomocy. Ale nie odepchniesz mnie tak łatwo.

Przeszedł do swojego miejsca pod orzechem, niosącego już ślady po godzinach, jakie tam siedział. Stanął na wytartej ziemi, oparł się o pień i spojrzał przed siebie, w stronę zachodzącego słońca, płotu, domu Eleanor. Zaczął się wspinać, centymetr po centymetrze zdobywając konary drzewa. Stanął na wysuniętej na zachód gałęzi, zachwiał się chwilę, złapał równowagę, spiął mięśnie, wziął głęboki wdech i przeskoczył na drugą stronę płotu.

Pauline, po nieco dłuższym siłowaniu się z drzewem, podążyła za nim. Simon leżał na ziemi trzymając się za kostkę. Gałąź była wyższa niż się spodziewał i skok skończył się dla niego boleśnie. Siedzieli tak jeszcze kilkanaście minut, on rozcierał kostkę żeby ulżyć bólu, ona mogła tylko biernie patrzeć. W tym czasie rozejrzała się po ogrodzie Eleanor. W porównaniu z drugą stroną płotu był zdecydowanie zaniedbany. Mniejszy od posesji rodziców Simona trawnik zarósł chwastami a wokół niego rozrósł się ciasny żywopłot nieprzycinanych krzewów. Jedyna wyrwa była w tym miejscu koło płotu, stworzona po to, żeby móc zbierać orzechy spadające z wiszącej nad ogrodem gałęzi. Wśród trawy i nieproszonych roślin było widać ostatnie w tym roku szczątki dmuchawców, grupki kilku puszystych kul wyrastające z zielonego morza. Chwasty wrastały aż w szczeliny w brukowanej ścieżce dookoła domu. Ściany zaczynały porastać mchem i towarzyszącymi mu drobnolistnymi pnączami. Sam dom, dość krępy, piętrowy budynek, był równie zaniedbany, ze ścianami obłażącymi tynkiem i krytym blachą dachem.

Simon wstał z trudem i dokuśtykał do betonowej werandy bez barierek. Wspiął się po schodkach i zapukał do drzwi wejściowych, wyraźnie bardziej zadbanych od domu, do którego prowadziły. Nikt nie odpowiedział. Pauline zauważyła krople potu wstępujące na czoło chłopaka i strach w jego oczach. Simon westchnął i nacisnął na klamkę. Drzwi otworzyły się z lekkim skrzypieniem. Wewnątrz panował półmrok, światło ociężałego, czerwonego, zachodzącego słońca już nie docierało do środka. Wisząca na kablu lampa była wyłączona. Simon niemal z nabożnością, żeby nie zakłócić spokoju tej świątyni cierpienia, ominął włącznik światła i szedł dalej, utykając. Zatrzymał się przed zdjęciami wiszącymi na białej ścianie. Pauline podeszła żeby też je zobaczyć.

- Kim ona była? - Pomyślała. - Dlaczego go tak zraniła? Co ją do tego doprowadziło?

Na pierwszym zdjęciu była dwójka dorosłych, czarnowłosa kobieta w białej sukni i wysoki mężczyzna w kamizelce, blondyn. Kobieta trzymała w ramionach kilkumiesięczne dziecko. Jej mąż się uśmiechał.

- Ojciec, wygląda na dobrego… - Taka myśl pierwsza przyszła jej do głowy. Poczuła

ukłucie jakby zazdrości, zmieszanej ze smutkiem i echem cierpienia. Znów wspięła się po niej ta sama nieczułość. Pokręciła głową odganiając myśli. Teraz nie miała na to czasu.

Kolejne zdjęcie, ta sama para na pikniku z kilkuletnią dziewczynką. Wyglądała na szczęśliwą, ale zamyśloną, jej oczy wyglądały na wpatrzone wewnątrz niej samej, w świat dużo ciekawszy i bardziej skomplikowany niż natura dookoła. Na następnym zdjęciu pojawiło się kolejne dziecko, też dziewczynka, w rękach matki, a Eleanor wyglądała na około pięciu lat. Wciąż patrzyła na świat tym samym introwertycznym spojrzeniem. Potem zmiana była drastyczna. Kolejne zdjęcie miało inny, mroczniejszy ton. Ojciec zniknął, a na twarz matki i córek wstąpił smutek. Co to było? Wypadek? Choroba? Samobójstwo? Eleanor była już nastolatką. Pauline oceniła jej wiek na około 13 lub 14 lat. Wyglądały dostojnie, matka w żałobnej czerni, Eleanor w ciemnofioletowej sukni.

Na każdym z następnych zdjęć matka była przy młodszej z dziewczynek, zaniedbując starszą. Zamyślone spojrzenie Eleanor zaczynało się zamieniać w przepełnione smutkiem. W czasie, w którym stała przy zdjęciach Simon zdążył wejść na górę. Widocznie znał już całą historię czarnowłosej dziewczyny. Pobiegła za nim, czując zimne ukłucie strachu.

* * *

Simon wszedł do pokoju. Od razu uderzyła go muzyka, na pozór przyjemna piosenka w rzeczywistości podszyta wielkim bólem. Po plecach przeszły mu ciarki. W sercu rozrastał się ból obejmujący całą klatkę piersiową. W tle wokalista Queens Of The Stone Age śpiewał:

“Don't cry
With my toes on the edge it's such a lovely view”

Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetliły najbardziej przerażający widok rozciągający się przed oczyma chłopca.

“Don’t cry
I never loved anything until I loved you”

Eleanor leżała na nieposłanym łóżku, w białej koszuli nocnej, jej sina twarz była zaciśnięta w wyrazie wiecznego spokoju, uszlachetnionym przez niknące błyski światła zza okna. Zachodzące słońce wyglądało jak czerwona aureola dookoła jej głowy.

“Inside
I'm over the edge. What can I do?”

Jej lewa ręka teatralnie zwisała z łóżka, trzymając otwarty słoik po środkach na ciśnienie. Wieczko leżało na podłodze, rzucone niedbale gdzieś obok. Naczynie wypadło z dłoni i uderzyło w parkiet z głuchym, roznoszącym się po całym domu trzaskiem.

“Shine

I happen to think that it's all like you”

Simon podszedł do ciała ukochanej. Leżało przed nim bezwładnie, jeszcze ciepłe po ostatnim oddechu cierpienia.

“Don't cry
With my toes on the edge it's such a lovely view”

Dotknął łóżka, nie śmiąc zbliżyć się bardziej do samobójczyni. Nie dane mu było przekroczyć tej bariery, dotknąć jej, zbliżyć się, pomóc.

“Don’t cry
I never loved anything until I loved you”

W jego oku pojawiły się łzy, ostatnie, jakie miały popłynąć przez długi czas. Ból, ból stawał się nie do zniesienia, jak wojna rozdzierająca jego serce. Krople łez rzęsiście spadały na drewnianą podłogę.

“Inside
I'm over the edge. What can I do?”

Płacz nie wystarczał, ból stawał się nie do zniesienia. Przytłaczał Simona, wykręcając jego duszę w cierpieniu. Coś pękło, zmieniając go na zawsze.

“Shine...

I've fallen through...”

Simon wrzasnął z bólu, kładąc się przy tym na ziemi. Cierpienie nie ustępowało, w akcie desperacji chłopak przełożył dłoń przez koszulkę i dotknął piersi paznokciami. Wbił je w ciało i przejechał ręką w dół, raniąc się do krwi. Czerwone krople spływały po jego piersi na drewnianą podłogę. Simon leżał w kałuży łez barwiącej się powoli karmazynem. Szlochał, nie wiedząc co innego może teraz zrobić. Serce pękło. Miłość umarła. A on już nigdy nie będzie taki sam. Złamany, skrzywdzony, stracony, leżał i płakał. Słowa, które powiedział potem pojawiły się jakby z punktu widzenia obserwatora, kogoś oceniającego jego życie:

- Nie zapomnisz ran, które sobie zadaliście. Pamiętaj, kto ciął głębiej. Nie potrafiłeś jej pomóc…

Wtedy do pokoju weszła Pauline.

* * *

- Wtedy nie pozostało mi już nic… - Powiedział Simon łkając. Pauline ścisnęła go mocniej.

- Miałeś tylko i wyłącznie to jedno uczucie i trzymałeś się go kurczowo. Mimo że bolało. - Odpowiedziała.

- Tak… Mimo że bolało.

Siedzieli chwilę w ciszy, zmąconej jedynie trzaskaniem ogniska. Smutne, opuszczone miasteczko wydawało się jakieś... spokojniejsze. Jakby część demonów udała się na zasłużony sen. Cień dookoła napierał słabiej.

- Kiedy po raz pierwszy osiągnąłem świadomy sen stworzyłem dla siebie ten obraz. Mnie wracającego przez las do chatki, bezpiecznego miejsca, gdzie czeka na mnie dziewczyna, która mnie kocha. Jakiekolwiek oparcie, choć sądziłem że sztuczne. Miałem swoją ucieczkę przed bólem po jej stracie i odrzuceniu, przed poczuciem winy za jej śmierć, rodzicami, którzy nie umieli mnie wesprzeć.

- Twoje cierpienie już nie wróci. Nie pozwolę. To już koniec krzywd. Jesteś bezpieczny...

Siedzieli przy ognisku słuchając trzasku płomieni. Pomarańczowa łuna oświetlała czającą się w mroku postać z nożem kuchennym w dłoni. Pauline zobaczyła ją kątem oka. Serce zabiło jej mocniej. Poprawiła okulary i przytuliła się mocniej do Simona.

- Miłość mnie tak nie skrzywdziła. - Przerwała ciszę. - Ale twoi rodzice przynajmniej nie zadawali ran…

* * *

Dom wydawał się pusty. Chociaż słowo "dom" zdecydowanie nie było określeniem pasującym do tego małego mieszkania. Pomiędzy pokrytymi strzępiącą się, brązową tapetą ścianami nie dało się wyczuć żadnej czułości, żadnego domowego bezpieczeństwa. Nie było tam nawet zdjęć rodzinnych. Jasny brąz ścian łamały brudnobiały sufit oraz żółtawy parkiet, którego przerwy między deskami wypełniała ciemna warstwa sprasowanego kurzu. Obok pękniętej lampy zwisającej ze stropu powstał naciek przypominający pęd jakiejś rośliny, nadając miejscu jeszcze bardziej apokaliptyczny klimat.

Simon znalazł się na środku głównego, i w sumie jedynego, korytarza. Rozejrzał się z lekkim zdziwieniem, ale nie miał czasu ustosunkować się do nowego otoczenia. Jedne z kilku obdartych drzwi się uchyliły i przez szparę wychyliła się dziwnie znajoma dziewczęca twarz. Mimo kilku zmian - szaro-brązowych, niepozornych włosów i okrągłych okularów na nosie - natychmiast rozpoznał Pauline.

- Pauline! - Zawołał.

Dziewczyna rozejrzała się ukradkiem po domu, ale nie zauważyła Simona. Stał boleśnie zdziwiony na środku korytarza, jak dziecko zagubione na stacji metra. Dlaczego go zignorowała? Wtedy dziewczyna wybiegła z pokoju i jakby ukrywając się przeszła w stronę kuchni, z dala od części domu zionącej subtelną wonią papierosów i alkoholu. Przebiegła przez Simona jak przez ducha. Ten dalej stał, zastanawiając się nad przyczyną zjawiska. Przebłysk świadomości kazał mu spojrzeć na zegarek. Wskazówki chodziły normalnie, ale data była przesunięta o ponad rok do tyłu.

- Wspomnienie. - Powiedział mu głos z tyłu głowy, ta racjonalna, ale nieprzyjazna część niego. - Nie, trauma. - Odparł w myślach.

Wtedy drzwi na drugim końcu korytarza otworzyły się. Wyszedł z nich barczysty, niechlujnie wyglądający

mężczyzna w podkoszulku.

- Pauline! - Wrzasnął. - Gdzie ty się włóczyłaś po nocy?! - Szedł w jej kierunku powolnym, ale stanowczym krokiem, jak machina wojenna jadąca na front. - Tak mi się odwdzięczasz za to że się tobą zajmuję? Ciągnie cię do niebezpiecznego miasta? Ja ci zaraz dam niebezpieczeństwo… Jeszcze po tym, jak potraktowałaś swoją matkę… Jeżeli jeszcze raz wrócisz do domu po jedenastej...

Pauline spuściła głowę, tak, że okulary zaczęły jej się zsuwać z nosa, ale momentalnie drgnęła. W nagłym wyskoku złapała leżący gdzieś plecak i wybiegła drzwiami wejściowymi. W oczach miała łzy, a jej usta wykrzywił grymas bólu, smutku i przerażenia.

* * *

Pauline westchnęła. Znów siedzieli przy tym samym ognisku. Simon zdał sobie sprawę, że kontrola nad Snem nie należała teraz do niego. Teraz to ona wybierała obrazy.

- Czy ona też współuczestniczyła w moich traumach? - Zadał sobie pytanie w myślach. - Na pewno je widziała, ale jak bardzo próbowała działać? Zmieniać…

Jego myśli przerwał głos Pauline:

- Nie miałam domu, nie miałam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać, cały ból musiałam znosić w sobie. - Zaczęła mówić. - Moją jedyną ucieczką były wieczorne spacery po mieście. Tylko tam mogłam znaleźć upragniony spokój. Żyłam tak odkąd zginęła moja matka. - Powiedziała cicho. - Kiedyś to ona była dla mnie oparciem. Kiedy byłam wyszydzana za moją emocjonalność…

* * *

Była chłodna, zimowa noc, ale w podmiejskim domku panowało ciepło. Wesoło trzaskający ogień w kominku kontrastował z bielą zaśnieżonych ulic za oknami. Przy palenisku siedziały dwie postacie - dziewczyna, wyglądająca na czternasto- lub piętnastolatkę i dorosła kobieta z krótkimi blond włosami - jej matka. Simon rozpoznał w młodszej z nich Pauline. Jej okulary leżały na podłodze obok a z jej oczu płynęły strumienie łez. Matka obejmowała ją czule. Był to prosty akt rodzicielskiej czułości, nieznany dotąd Simo-

nowi, którego rodzice zawsze więcej wymagali niż wspierali.

- Czy to że płaczę jest złe? - Spytała łamiącym się głosem Pauline. - W tak nieznaczących sytuacjach... Ludzie nie chcą do mnie podchodzić i patrzą się takim wzrokiem… Jakby moje łzy były zawsze hańbiące…

- Nie, kochana, w tym nie ma nigdy zła. Złem jest powodowanie bólu, a twoje łzy nie ranią. W tym, że czujesz więcej i silniej jest pewne piękno, do którego wielu nie ma dostępu. - Matka objęła córkę mocniej.

- Naprawdę?

- Tak. I w końcu znajdziesz kogoś, kto je dojrzy i pokocha. Obiecuję.

Siedziały tak chwilę w ciszy, obserwując trzaskający ogień. Łzy dziewczyny przestawały płynąć i Pauline zaczęła się uspokajać. Matka wstała, zostawiając ją samą przed kominkiem. Podeszła do skromnie, ale schludnie urządzonej kuchni i powiedziała:

- Wiesz co jeszcze poprawi ci humor? Czekolada. Na mnie zawsze działała.

Zajrzała do szuflady pod lodówką - Simon domyślił się że trzymają tam słodycze - I przeszukiwała ją chwilę.

- No cóż, skończyła się. Ale delikatesy powinny jeszcze być otwarte. Mogę podjechać i kupić dla ciebie.

Pauline odwróciła się i odpowiedziała już szczęśliwszym głosem:

- Dzięki mamo. Kocham cię.

- Ja ciebie też. - Kobieta odpowiedziała zapinając podszyty futrem płaszcz.

* * *

Pauline czekała na powrót mamy rozłożona na fotelu z książką w rękach. Smutek powoli znikał z jej twarzy, roztapiany przez ciepło matczynego uczucia. Na myśl o zrozumieniu i współczuciu z jej strony wewnątrz jej duszy rozpalało się małe światełko, powoli odganiające mrok.

Simon przyglądał jej się z miłością, napawając się jej rosnącym spokojem, ale jednocześnie gdzieś w głębi czuł, że jej szczęście niedługo się skończy. Bańka pęknie, pozostawiając zimny świat na zewnątrz. Delikatesy przecież były niedaleko. Wizyta tam nie powinna trwać prawie godziny… Może były zamknięte… Może mama pojechała do supermarketu trochę dalej, bo mają większy wybór czekolady…

Jednak niepokój w końcu dotknął również Pauline. Wstała z fotela i odłożyła książkę, niezdolna do czytania poprzez narastające emocje. Nawet nie założyła zakładki i dzieło zamknęło się po chwili, posyłając w niepamięć punkt, na którym skończyła. Podeszła do zamkniętych drzwi wychodzących z salonu i zapukała. Uchyliły się ukazując schludnie ubranego mężczyznę o szaro-brązowych włosach - jej ojca. Nie uśmiechał się, ale nie wyglądał jednocześnie na potwora, jakim wcześniej ujrzał go Simon.

- Tato, mama pojechała po czekoladę dla mnie i nie wraca… - Dziewczyna powiedziała z wyraźnym smutkiem. - Martwię się…

Na samą myśl co mogło się stać jej serce ściskał ból.

- Przejdę się w stronę delikatesów, może się zobaczymy po drodze. - Dodała po chwili.

- Pauline, jest późno i zimno, nie idź sama. - W jego głosie nie było tej rodzicielskiej czułości.

Ale ona już zakładała kurtkę i buty. Otworzyła frontowe drzwi i wyszła na zimną, śnieżną noc. Ojciec wyszedł za nią ze zrezygnowanym wyrazem twarzy. Simon podążył za nimi.

* * *

Płatki śniegu były dla niego dziwnie ciepłe. Wspomnienie wyraźnie nie uwzględniało takich dotykowych wrażeń. Wyprzedził brnącego przez biały puch mężczyznę i dogonił Pauline. Z jej oczu znów płynęły łzy, spływając strumieniami po gładkich, białych policzkach i zamarzając lekko w zimnie. Szła powoli, pod wiatr, brodząc w zaspach. Po chwili stanął za nią ojciec.

- Pauline, weź się w garść. - Usłyszała od niego tylko tyle.

* * *

Na najbliższym skrzyżowaniu zobaczyli światła ambulansu i policyjnego radiowozu. Wskazywały na miejsce wypadku. Biała ciężarówka wjechała w samochód jadący w ich stronę. Pauline ze zgrozą rozpoznała pojazd swojej mamy. Nie było szans żeby ktokolwiek przeżył coś takiego. Zgnieciony w harmonijkę wrak wręcz dymił w kilku miejscach. A ona stała sparaliżowana bólem, ze strumieniami łez płynącymi z jej oczu jak woda przełamująca betonową tamę. Z całego natłoku wrażeń i uczuć zapamiętała tylko słowa swojego ojca:

- To twoja wina! Gdyby nie ty i to twoje wydziwianie z emocjami…

* * *

- Nigdy nie uwierzyłam w pełni w jego słowa. Wiedziałam, że jedynym winnym był tamten kierowca. Ale gdzieś w podświadomości zaczęło rosnąć przekonanie, że moje emocje są czymś złym. I próbowałam ukrywać je, być niewidzialna, mimo że nie potrafiłam tego zrobić. Duszenie wszystkiego w sobie wywoływało u mnie cierpienie i gdzieś musiałam wylewać swój ból.

Simon słuchał jej w ciszy, obejmując ją mocno. Trzaskający ogień oświetlał ich twarze ciepłą łuną.

- Założyłam pamiętnik w małym kalendarzu w ciemnofioletowej okładce. Co roku kupowałam identyczny. Na każdej kartce zapisywałam swoje myśli i odczucia z tamtego dnia. Dzięki temu potrafiłam przetrwać, mimo bólu, mimo samotności. Mimo tego, że czasami byłam tak wyczerpana, że nie czułam już nic. - Westchnęła smutno i przerwała na chwilę.

- Niedługo po śmierci mamy ojciec zaczął pić i pogrążać się w długach. Kilka miesięcy później musieliśmy się przeprowadzić do małego mieszkania na mieście. Tam też nie miałam nikogo. Nie potrafiłam sobie znaleźć żadnej bratniej duszy. Inni ludzie mnie przerażali. Ale aż do tego jednego dnia cierpliwie znosiłam cierpienie, jakie ojciec szykował dla mnie na każdym kroku. - W jej oczach widać było ból, a w ich kącikach pojawiły się łzy, coś co przez lata stało się dla niej codziennością.

* * *

Pauline siedziała na małym skwerku, skąpo oświetlonym światłem latarni i jasną, zimną łuną dochodzącą z czynnej całą dobę kawiarni o industrialnym wystroju, w której spędzała wieczory. Polubiła to miejsce,

mimo że przychodziła tu dopiero od miesiąca. Zmieniała kryjówkę za każdym razem jak ktoś się nią zainteresował. Zwykle jedna kawiarnia wystarczała jej na trzy do czterech miesięcy, nieco krócej zimą, gdy musiała siedzieć w środku. Czytała książkę, wciąż jej ulubiony rodzaj ucieczki od świata. Simon usiadł naprzeciwko niej, mimo że wiedział, że pozostanie niezauważony.

Do stolika podszedł starszy już kelner. Był ubrany w schludny uniform, siwiejące włosy miał krótko przystrzyżone. Odchylił lekko krzesło, na którym siedział chłopak i usiadł lekkim ukosem do Pauline, częściowo pokrywając się z Simonem. Na twarzy chłopaka pojawił się wyraz zdziwienia. Dziewczyna odłożyła książkę i spojrzała na mężczyznę toczonymi smutkiem błękitnymi, przypominającymi oceany oczyma.

- Co cię tu sprowadza o takich porach? Od dłuższego już czasu jesteś jedną z ostatnich klientek. - Coś w postawie kelnera budziło zaufanie, jakby już widział wiele takich osób w swoim życiu.

- Emm… - Zająknęła się. - Szukam tu spokoju…

- Nie martw się, ta kawiarnia jest ostoją dla zagubionych od dość dawna. Pamiętam takiego chłopaka w głębokiej depresji… Przychodził tu bardzo długo. Kiedy pewnego dnia już się nie pojawił zaczęło mi czegoś brakować… - Zamyślił się. - Mniejsza o moje sentymenty. Jeśli będziesz chciała porozmawiać po prostu mnie poproś.

Pauline przytaknęła.

- Mówią mi Michael. Jestem w sumie właścicielem lokalu. Możesz wstąpić za każdym razem jak będziesz potrzebowała spokojnego miejsca, jeśli odmówi ci go reszta świata.

- Pauline Everett. - Podała mu rękę. - Dziękuję. - Uśmiechnęła się melancholijnie i spojrzała na szyld kawiarni. Zielony neon nad wejściem układał się w napis “Safe Haven”.

- Teraz powinno być lepiej… - Pomyślał Simon... - Znalazła swoją ostoję… - …ale z jakiegoś powodu uczucie bólu i zmartwienia nie ustępowało.

Nagle dziewczyną tchnęło złe przeczucie. Spojrzała na zegarek. 17 czerwca, godzina 22:31. Musiała szybko wrócić do domu albo znaleźć miejsce do spania na mieście. Ta druga opcja nie wydawała się tak zła… Przełknęła ślinę. Jeszcze nie czas na ucieczkę. Jest za młoda, żeby ją gdziekolwiek przyjęli. Musi wytrzymać jeszcze niecałe dwa lata... Pożegnała kelnera i pobiegła w stronę przystanku tramwajowego.

* * *

W domu czekał na nią ojciec. Stał jak gwardzista, broniąc przejścia korytarzem. Wydawał się dużo bardziej pijany, i zdecydowanie bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek wcześniej. Ręce trzymał za plecami, a jego nieogolona twarz była czerwona od furii i alkoholu. Jedyna lampa rzucała głębokie cienie na jego wyraziste rysy. Papieros w kąciku ust jarzył się czerwienią, ale bardziej kojarzył się jej z wulkanem, niosącym zniszczenie w płomieniach, niż z ciepłem ogniska. Lub kominka. Pauline powstrzymała zbierające się łzy i panicznie spojrzała na zegarek. 22:53.

- Zdążyłam przed jedenastą… - Zaczęła się bronić.

- CO TO MA ZNACZYĆ! - Wrzasnął na nią, a niedopałek wypadł mu z ust i naznaczył parkiet drobnym śladem nadpalenia i popiołu. Zgasł natychmiast, pozbawiając demonicznego strażnika jednego z elementów grozy.

Wyciągnął zza pleców jedną z dłoni i rzucił czymś z całej siły w podłogę. Pod stopami dziewczyny wylądował ciemnofioletowy kalendarz oprawiony w sztuczną skórę. Pauline przełknęła ślinę. Simon poczuł nagły ból w piersi, jednak tym razem był on inny. Nie były to stalowe noże, do których się przyzwyczaił. Teraz bolało mocniej. Teraz krzywdzono kogoś, kogo kochał. Zacisnął pięści. Ból tylko się zwiększał. Spiął się i stanął między nimi, gotów do ostatniej kropli krwi bronić swej ukochanej. Ojciec przeszedł przez niego ciężkim i chwiejnym krokiem, jak przez niespodziewającego się niczego ducha. Był tu przecież tylko obserwatorem. Nachodzące go poczucie bezsilności wyparło natychmiast wszystkie inne emocje.

Pauline nie podniosła pamiętnika. Stała sparaliżowana ze strachu, ze łzami w oczach. Mężczyzna był już przy niej, jednym ruchem ręki chwycił ją za dekolt i podniósł lekko do góry, tak, że ledwie sięgała podłogi palcami stóp. Mięśnie jego gołej ręki napięły się w tym pokazie siły.

- CO TO MA ZNACZYĆ! - Powtórzył, wypuszczając córkę z uścisku. Pauline upadła na posadzkę i przeczołgała się pod kuchenne drzwi. Simon zacisnął pięści, aż wbijając sobie paznokcie w wewnętrzną stronę dłoni. Teraz poczuł siłę, której mu brakowało, gdy sam został zraniony. Żądzę zemsty.

- Zabiję cię… Za każdą jej krzywdę… Za każde złe słowo. - Wycedził. Nikt go nie słyszał.

Ojciec Pauline, patrząc jak córka próbuje się wycofać, podniósł zeszyt, otworzył losowy fragment i zaczął czytać ironicznym głosem:

- "8 Maja, drugi rok od śmierci mamy

Dzisiaj ojciec znów tłumaczył mi, że jestem winna jej śmierci. Okazja zdarzyła się, kiedy zobaczył, że płakałam w pokoju...

Samotność mnie przytłacza. Czuję się taka sama wśród otaczającego mroku. Cienie napierają, a mnie nikt nie może ochronić. Całe zimno świata przeznaczone jest dla mnie i tylko dla mnie. Powietrze wokół mnie zamarza. Szron wspina się po moim ciele. Potrzebuję ognia... Potrzebuję ciepłych objęć kogoś, kto mnie znajdzie i uratuje...

Potem znów wyszłam na wieczór. Dzisiaj wreszcie znalazłam nową kawiarnię. Nazywa się 'Safe Haven' i łatwo do niej dojechać tramwajem. Koło 20 minut, chyba najlepsza lokalizacja dotąd. Czynna cały czas, ale trochę drogo. Najwyżej zacznę sprzedawać swoje wiersze."

- Słuchaj mnie dziewczyno! Czy ty jesteś zdrowa na umyśle?! - Wrzasnął.

- NIE! - W Pauline coś pękło. Wystarczyło strachu. Koniec bierności. Udało jej się wstać mimo boleśnie obitej nogi. Zaczęła wycofywać się do kuchni.

- Tu jest twój dom! - Ojciec zbliżał się do niej, zataczając się. - Masz już nigdy mi go nie opuszczać! Chyba że do szkoły! Tu jest twój dom i będziesz tu siedzieć! Jak możesz tak odcinać się od rodziny!? Najpierw zabiłaś matkę, a teraz tak mnie ranisz!

Pauline spojrzała na niego spod okularów hardym wzrokiem. Otarła łzy. Wyraz jej twarzy zmienił się ze strachu w nienawiść.

- Nie mam domu. Na pewno nie tu. Wolę już bruk i deszcz. Wolę już umrzeć!

Ojciec chwycił nóż kuchenny i rzucił się na nią. Simon cały czas obserwował tę scenę, mogąc tylko biernie patrzeć. Poczuł ciepłe uczucie przebijające się przez ścianę bólu. Był dumny z Pauline, która się zbuntowała, przestała być bierna. Jednak i to szybko zniknęło, przytłumione zimną bezsilnością i strachem o jej życie. A dziewczyna nie była w stanie nic zrobić...

Mężczyzna już był przy niej i zamachnął się bronią. Pauline desperacko spróbowała się uchylić, widząc w ostatniej chwili błysk noża. Ostrze przejechało po jej czole i skroni. Krew spłynęła po połowie jej twarzy. Krzyknęła z bólu. Ojciec stał zszokowany własnym czynem. W jego oczach pojawiła się maleńka iskra skruchy, szybko jednak zniknęła w ogniu podsycanej alkoholem furii.

- Jak możesz tak mówić!? - Wrzasnął na nią.

Pauline cofała się z trudem, aż uderzyła w kuchenną szafkę. Znalazła się w samym rogu, bez drogi ucieczki. Ojciec szedł w jej stronę, stawiając chwiejnie krok za krokiem. Z każdym dźwiękiem buta stawianego na białej posadzce przyspieszało jej bicie serca. Wątłe światło lampy tańczyło na zimnym, poplamionym krwią ostrzu kuchennego noża. Mężczyzna był już o krok od niej. Nagle zatoczył się, nie mogąc złapać równowagi. Padł na plecy, wypuszczając broń z ręki. Nóż upadł z brzękiem na posadzkę obok dziewczyny.

Pauline otrząsnęła się z szoku, zerwała z podłogi i wybiegła frontowymi drzwiami. Simon obrócił za nią wzrok.

- To już się stało. - Mruknął do siebie. - Nic nie poradzisz. Jedyne co możesz robić to patrzeć. I pocieszyć po fakcie.

* * *

Simon zbiegł za nią i zobaczył, jak utykając zbliża się do jezdni. Natychmiast chwycił się za pierś z bólu. Od razu wiedział, co zamierzała zrobić. Nie musiał nawet patrzeć dalej, ale jednocześnie nie mógł oderwać wzroku. Gęsty szum pędzących samochodów zdawał się zagłuszać jego myśli. Krople zaczynającej się ulewy spadały dookoła nich. Samochody się zatrzymały. W czerwonawym świetle stojących pojazdów deszcz wyglądał jak krew. Zielone światło. Ulica znów się rozpędziła, a nikt nie zwrócił uwagi na samotną dziewczynę na krawędzi chodnika. Nikt nie miał czasu. A Simon nie mógł nic zrobić…

- Co ja zrobiłam… - Pomyślała Pauline. Adrenalina opadła i przyszedł ból zranionej skroni i obitej nogi. - Nie mam gdzie pójść. Nie mam już nic. Znajdzie mnie w Safe Haven… Nigdzie indziej nie pójdę... - Całą twarz miała we krwi, jeszcze mocniej spływającej przez rzęsisty deszcz. Od samego myślenia rana bolała ją bardziej... - Czyli tak wygląda dzień mojej śmierci... - Powiedziała cicho.

Weszła na jezdnię.

* * *

Oślepiły ją światła samochodu. Poczuła powiew wiatru, kiedy pojazd zatrzymał się kilka centymetrów przed nią. Pisk hamowania był ogłuszający. Drzwi się uchyliły i na jezdnię wyszła czarnowłosa kobieta w garniturze. W samochodzie za nią ktoś głośno zatrąbił.

- Siedź cicho bucu! - Wrzasnęła do niego.

Kierowca zaprzestał swojej części kakofonii dźwięków zszokowany jej reakcją. Kobieta spojrzała na stojącą w szoku Pauline. Widząc spływającą po jej twarzy krew powiedziała do tego samego buca:

- Szybko, dzwoń na pogotowie! Powiedz, że przy Bitter Street 18 mamy niedoszłą samobójczynię. Ranną w głowę.

Potem zwróciła się do Pauline.

- Spokojnie, będzie dobrze. Potem opowiesz, co się stało.

* * *

Pauline odgarnęła grzywkę i pokazała długą, białą bliznę ciągnącą się od części czoła po lewą skroń.

- Moja haniebna przeszłość...

- Bolesna, smutna, ale nie haniebna. - Odpowiedział Simon. - Blizny to coś, co nosi się z dumą. Te na zewnątrz i te w środku. Kocham cię. Nawet z bliznami… - Urwał na moment. - Szczególnie z bliznami. - Dodał po chwili.

- Ja ciebie też… - Przytuliła się jeszcze mocniej.

Siedzieli tak kilka minut, patrząc na dopalające się ognisko i słuchając cykania świerszczy. Miasteczko już w pełni straciło swoją mroczną aurę. Końcówka nocy była spokojna...

- Kobieta, która uratowała mi życie nazywała się Lucy Rogers. - Pauline kontynuowała monolog. - Była samotną prawniczką. Miała wszystko, pozycję, pieniądze, ale brakowało jej jednego. Bliskich. Ja dałam jej szansę na kogoś takiego. - Zdjęła okulary i zaczęła obracać je w dłoniach. - Poprowadziła moją sprawę w sądzie i przejęła od ojca prawa rodzicielskie. Nie widziałam go już odtąd. Po jakimś czasie przeprowadziliśmy się tu, do spokojnego, nowego miejsca. Znalazła nawet mi terapeutę, żeby pomógł mi

radzić sobie ze smutkiem i traumą. - Westchnęła - Za to ja jeszcze wcześniej zdecydowałam się odciąć się od przeszłości, zaczęłam nawet nosić soczewki kontaktowe i farbować włosy na rudo. Chciałam zacząć od nowa. Mieć czystą kartę. Ale to nie wystarczało. Potrzebowałam kogoś bliższego, kogo wciąż nie umiałam znaleźć. - Spojrzała na Simona. - Wtedy udało mi się wejść w świadomy sen. Wyobraziłam sobie siebie stojącą na werandzie małej chatki wśród śniegu, widzącą jak idzie ku mnie chłopak, który mnie kocha. Ty. Ten obraz dodawał mi otuchy…

* * *

Simon i Pauline siedzieli na dachu opuszczonej stacji kolejowej, trzymając się za ręce. W szarości poranka miasteczko utraciło całą resztę swojej grozy. Stary tramwaj już nie napawał ich strachem, sklepy z bronią i apteki całkowicie straciły znaczenie. Latarnia w oddali była zapalona. Demony tego miejsca zostały pokonane. Raz i na zawsze. Za lasem w oddali zaczęło wschodzić słońce.

- Czy jeszcze tu wrócimy? Do Snu? - Spytała.

- Nie będziemy musieli.

To był ważny wschód słońca. Pierwsze promienie ich nowego życia.

* * *

Simon zerwał się ze snu. Zrzucił pościel na podłogę i usiadł na brzegu łóżka. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio tak łatwo było mu się podnieść. Sięgnął myślami do swojej klatki piersiowej, tam gdzie zwykle czuł ból. Nie wyczuł nic, ale nie była to pustka, bezdenna otchłań szarości wyżerająca jego uczucia, tylko upragnione uczucie wewnętrznego spokoju. Szczęścia. Wstał i podszedł do lusterka stojącego na szafce nocnej. Na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech. Sięgnął po czarny sweter wiszący na klamce i bezceremonialnie wrzucił go do kosza na śmieci. Otworzył okno i wziął głęboki wdech, upijając się rześkim powietrzem poranka.

Wtedy zobaczył wschód słońca. Miał jeszcze mnóstwo czasu do początku rutynowego dnia, ale nie chciał wracać do łóżka. Wystarczyło dni, w których czuł się do niego przykuty. Po chwili zastanowienia przemknął się ukradkiem do pracowni malarskiej mamy.

Kiedy matka Simona weszła rankiem do pokoju, zobaczyła jak kończył prostą akwarelę. Na kartce pojawił się obraz drewnianej chatki pośród zimowego lasu i czekającej na werandzie rudowłosej dziewczyny.

* * *

Pauline spojrzała na swoje odbicie w lustrze. W błękitnych oczach widać było dużo mniej bólu, jakby ulgę. Uśmiechnęła się. Z dołu domku usłyszała dźwięki Lucy krzątającej się w kuchni. Wzięła głęboki wdech. Zapach jasno sugerował kanapki z bekonem.

Chwilę ważyła w myślach wczorajszą noc, ale mimo wszystko czuła się spokojna. I szczęśliwa. Pomyślała o Simonie i zdała sobie sprawę, że jej policzki się zarumieniły. Zaczęła rozczesywać włosy i natrafiła palcem na bliznę. Jej wyraz twarzy momentalnie się zmienił, uśmiech zniknął

- Bolesna, smutna, ale nie haniebna. Blizny to coś, co nosi się z dumą. Te na zewnątrz i te w środku. - Przypomniała sobie jego słowa.

Zaczesała włosy na drugą stronę, tak, że nie ukrywały białego śladu. Po chwili wahania założyła okulary i zbiegła na dół.

Młoda prawniczka stała w fartuchu przy patelni i spojrzała na dziewczynę zdziwionym wzrokiem.

- Paulie, jeszcze nie widziałam cię w takiej euforii! Co ci się stało?

- Znalazłam swoje szczęście!

* * *

Znalazła go w szkolnej kawiarni. Jakieś przeczucie mówiło jej, że będzie właśnie tam. Pauline teatralnie weszła do środka i pomachała w jego stronę.

Simon stał koło umierającej w męczarniach niskiej palmy i rozmawiał z jakimś chudym i niskim chłopakiem. Nie pamiętała, jak się nazywał. Chyba jakoś na “g”. Gary, George? Gregory! Wydobyła to imię z niedostosowanej do pamiętania ludzi aspołecznej pamięci.

Simon wydawał się szczęśliwy. Co chwilę nieporadnie, ale uroczo zerkał w stronę drzwi, wypatrując jej. Widząc jej machanie przeprosił rozmówcę i odbiegł w jej stronę, prawie potykając się po drodze o jeden ze stolików. Padli sobie w ramiona, nie zwracając uwagę na pozostałych bywalców kawiarni.

- Tak dobrze mieć ciebie... - Westchnął.

- Tak... - Pauline wtuliła głowę w jego ramiona. - Teraz wreszcie czuję się żywa...

Przeszli do stojącego za regałem na książki i depresyjną palmą stolika na podwyższeniu. Był za mało schowany, żeby ukryć dwie osoby, ale Simon i Pauline nie chcieli się ukrywać. Przypomniał sobie ten dzień, kiedy ostatnio siedział tu sam, próbując uciec w Sen - jednocześnie tak niedawny i tak daleki. Plama po rozlanej kawie wciąż lekko znaczyła blat. Uśmiechnął się pod nosem. Jednak ta część jego życia - ich życia - kończyła się dobrze.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

MichalTrzaska, dodano 28.09.2018 19:19

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.